

Warszawa, dnia 12 (24) Września 1870 roku.

№ 38. | Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop. 33¾). **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.—**Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u **Leitgebera,** we *Lwowie* u **Wilda Karola,** w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza. | Rok VI.

TREŚĆ: Wojna, przez Wołodego *Skibę* (dokończenie).—Niewiasta w boju, wiersz przez *B. K.*—Marymont i jego okolice (z 2-ma drzeworytami) przez Wincentego *Olszowskiego*.—Drozdy, (z drzeworytem). — Pogadanka prawna, przez *J. K. Turowskiego*. — **Wiadomości techniczne.** — Rozmaitości.

WOJNA.

(Dokończenie, patrz Nr. 37-y).

Nie są to jeszcze wszystkie objawy zbawiennego wpływu cywilizacji na wojny. Jest jeszcze wiele innych, tak ciekawych i ważnych, że ich pominąć nie możemy.

Same postępy sztuki wojennéj, o których mówiliśmy powyżéj, zamiast wpływać na uczynienie wojen więcéj morderczemi, wpływają przeciwnie na ich złagodzenie.



Grossów czyli Aleksandrówka, pod Marymontem. — (Strona 415-ta).

Dzieje się to bardzo prostym sposobem. Z postępem wynalazków, mających na celu udoskonalenie i ułatwienie działań zaczepnych, idzie postęp wynalazków mających na celu udoskonalenie i ułatwienie działań obronnych. Ponieważ każde państwo może być w położeniu zaczepiającego lub broniącego się, ubiega się zatem zarówno o jedno i drugie, i pracuje nad jednemi i drugiemi wynalazkami, a nawet bardziéj doskonali środki obrony, od środków zaczepki, gdyż zaczepiać, może tylko wtenczas kiedy chce samo i czuje się na sile, a do bronienia się przeciw nieprzyjacielowi, może być w każdéj chwili zmuszonem. Ztąd wynika, że doskonałość

środków obronnych idzie w parze, a nawet gdzie podobna, przewyższa doskonałość środków zaczepnych; skutek więc zwarcia się dwóch potęg militarnych jest prawie ten sam teraz co w ówczas, gdy środki te były mniéj doskonałe. Wydoskonalenie więc środków bojowych i saméj taktyki wojennéj nie daje zwycięztw, ale sprawia, że one są szybsze, odnoszą się prędzéj i raz odniesione, mają wpływ więcéj stanowczy na los walki. Tym sposobem wojny są krótsze, nie może już być dzisiaj mowy o jakiéj nowéj trzydziesto a nawet siedmioletniéj wojnie, i chociby nawet w pojedynczych bitwach więcej ludzi ginęło niż dawniéj, w ostatecznym rezultacie ginie ich mniéj.

Okazuje się to jeszcze i z innéj strony, innym dowodem. Za dawnych czasów, gdy nie było armji stałych, gdy każdy był żołnierzem niejako, dłużéj musiała trwać wojna nim jeden naród mógł złamać i tak osłabić drugi, żeby mu mógł dyktować swoje prawa. Jedna, druga i dziesiąta wygrana bitwa, nie decydowała jeszcze o losie wojny. Dziś, gdy armja którego państwa w jednéj albo dwóch walnych bitwach pokonaną zostanie, już to państwo nie ma środków obrony, nie ma możności powetowania swojéj klęski, straciło swoją armję i musi przyjmować pokój.

W pierwszym razie tępiły się i przerzadzały narody, w drugim rozbijają się i przerzadzają szeregi ludzi przeznaczonych wyłącznie do obrony ojczyzny, łatwo więc zrozumieć w którym rązie akcja jest krótsza i straty w ludziach mniejsze.

Zresztą i taktyka wojenna jako nauka, doszła do przekonania, że gdzie tylko można, lepiéj jest brać jeńców niż kłaść trupem nieprzyjaciela, bo w jednym i tym samym czasie trzy razy więcéj można wziąść do niewoli, niż zabić lub ranami uniezdolnić do walki, a więc się większą nieprzyjacielowi zadaje klęskę pierwszym niż drugim sposobem.

Na krótkość wojen ma także wpływ niezmierny szybkość, z jaką dzisiaj, przy ułatwionych środkach kommunikacji przerzucać można z miejsca na miejsce massy wojska. Dawniéj nim postęp wynalazł te środki, wojny wlokły się długo, bo wojska traciły całe miesiące na pochodach które dziś odbywają w jednéj dobie; znużenie długich pośpiesznych marszów wycieńczało ich siły. Śmierć z wysilenia dziesiątkowała szeregi wprzód nim przyszło do starcia, zakradały się choroby i zadawały stronom groźniejsze klęski od przegranych bitew.

Wszystkiego tego dzisiaj nie ma i te zdobycze cywilizacji stają się przeto mniéj strasznemi.

Podamy jeszcze jeden powód, dla którego wojny dzisiaj nie są tak strasznemi jak dawniéj.

W dawniejszych walkach nadzwyczajną rolę odgrywały wzajemne nienawiści narodowe lub religijne. Muzułmanin walczył z chrześcijaninem, uważając go za psa, dla którego wszelka litość byłaby występkiem; strona katolicka uważała protestancką za heretyków skazanych na potępienie; słowianin w najspokojniejszych czasach żywił jakąś antypatję do niemca, antypatja ta potęgowała się gdy przyszło do dobycia z pochew oręża; francuz szydził z anglika, anglik gardził francuzem i t. p. Łatwo pojąć skutki takich wzajemnych nienawiści i uprzedzeń na polu walki. Zkąd wyznawca Mahometa rozgrzany walką, zapalony widokiem krwi, żądzą łupu, fanatyzmem religijnym i szczepowym miał uczuć jakiś popęd ludzki na widok upadającego, rannego lub rozbrojonego gjaura?... zkąd mógł uczuć taki popęd ludzkości katolik względem heretyka, słowianin względem niemca, francuz względem anglika i odwrotnie? Zdawało im się, że z rodu przeznaczeni są aby się nienawidzieć, tępić, że są stworzeni do wiecznéj wojny z sobą, jak psy z kotami. Ochotniéj więc szli do boju, a w walce byli krwiożerczymi.

Dziś się to wszystko zmieniło. Dziś, nietylko że widziemy wojska różnych przekonań religijnych, różnych szczepów, walczące częstokroć obok siebie przeciw wspólnym nieprzyjaciołom, bo to się czasem i dawniéj trafiało, ale nadto dzieją się rzeczy niesłychane w dziejach walk starożytnych, że w chwilach rozejmów, oficerowie stron nieprzyjacielskich schodzą się z sobą i oddają wspólnym biesiadom, rozrywkom towarzyskim, pewni że ich osłania prawo narodów od zdrady, a cywilizacja, wykształcenie obustronne, od wzajemnéj obrazy; pewni że chociaż biorą udział w walce o sprawy swoich rządów, wolni są przecież od osobistych uraz i uprzedzeń względem swoich przeciwników. Naturalnie, że tacy ludzie w walkach krwiożerczymi być nie umieją, że są waleczni ale nie są okrutni, że jeśli oddają krew swoją i rozlewają krew przeciwnika, czynią to tylko o tyle, o ile tego wymaga nieubłagana konieczność, a nie lubują się w téj zgrozie. W tak cywilizowanéj wojnie nie byłoby dziwnem spostrzedz, gdyby który z walczących własną piersią zasłonił padającego, poddającego się lub rozbrojonego wroga, przeciw ciosowi swego towarzysza broni, któregoby zapalczywość wojenna aż do zgwałcenia prawa narodów uniosła.

Co było przyczyną téj tak uderzającéj różnicy, tego tak nagłego przewrotu w usposobieniach?... Czy większe zakorzenienie w sercach zasad ludzkości, przepisów moralności, miłości bliźniego?... Bynajmniéj. Rycerze wojen religijnych byli może więcéj przejęci zasadami chrześcijańskiemi jak my, a przecież dla wrogów nie znali litości. Stało się to jedynie skutkiem cywilizacji i postępu, które ułatwiły narodom bliższe poznanie się wzajemne.

Pomnożenie i udostępnienie środków kommunikacji zbliżyło ze sobą i zaprzyjaźniło narody. Poznaliśmy się bliżéj i znikły przesądne wyobrażenia jakieśmy mieli jedni o drugich. Oświata nauczyła nas szanować człowieka, przekonała że człowiekiem jest także i ten, co wyznaje inną wiarę, albo mówi innym językiem. Podróże i stosunki zbliżyły nas i przekonały o prawdzie téj nauki. Zamiast szydzić jedni z drugich, zaczęliśmy się uczyć od siebie wzajemnie.

Oto przyczyna owego zadziwiającego na pozór zjawiska, przyczyna tak ogólna, tak wspólna wszystkim cywilizowanym krajom, że gdybyśmy gdzie spostrzegli dwa narody, z których jeden mając sposobność poznania drugiego, żywi jednak przeciw niemu jakąś nienawiść, antypatję, chęć zagładzenia go i wytępienia, musielibyśmy powiedzieć, że naród ten jest względem owego drugiego barbarzyński, i że ta jego nienawiść jest tylko maską, ukrywającą prawdziwe uczucie, zazdrość jego wyższości i wstyd swéj niższości.

Takie są główne drogi, któremi cywilizowała się wojna.

Czemże więc wojna jest dzisiaj?...

Wojna jest złem, niekiedy bezwzględnem, niekiedy koniecznem, nieuniknionem i dobre pośrednio wydającem skutki. W stosunku do cywilizacji i postępu, jest ona sama przez się ich zaprzeczeniem, ich negacją, wyjątkiem od nich, buntem przeciw nim, ale jest także najlepszym dowodem ich niepokonanéj potęgi, kiedy tem będąc czem jest, musiała pod ich wpływem zmienić swój charakter, wyrzec się chociaż w części przyrodzonéj sobie srogości, grozy, wyuzdania.

Któż nie zna majestatycznéj pieśni „Święty Boże"?.. któż nie pamięta w niéj błagalnéj prośby do Stwórcy: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny uchowaj nas Panie." Wojnę więc zaliczono do czterech plag najstraszliwszych, do plag, które w dawniejszych wiekach dziesiątkowały ludzkość i pochłaniały jéj dorobek i mienie.

Postęp wrzystkie te plagi ogromnie zmniejszył, jeżeli ich nie wytępił. Widzieliśmy jak przekształcił, złagodził, rzadszą i krótkotrwałą uczynił klęskę wojny, a co do trzech innych, komuż jak nie postępowi umiejętności i cywilizacji zawdzięczać należy, że już zaraza morowa nie wybiera dziesięciny z głów naszych, że straty jakie pożar powoduje, wynagradzają towarzystwa zabezpieczeń, że głód który w dawniejszych wiekach bywał zjawiskiem nadzwyczaj częstem i powszechnem, zabierającem życie setkom tysięcy ludzi, dziś bywa tylko rzadką klęską miejscową, w której wypadki śmierci z braku pożywienia, liczą się na jednostki a na dziesiątki najwyżéj.

Gdyby ludzkość ograniczyła się tylko na śpiewaniu: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny," byłażby kiedy doszła do tych błogich skutków, które pilnéj, wytrwałéj i rozumnéj pracy zawdzięcza?...

Wołody Śkiba.

NIEWIASTA W BOJU.

Po sercach ludów przeszedł dreszcz zawiści szpetnéj,
Ozwał się grzech Kaina, krwi ludzkiéj wszczepiony,
I zawrzał pojedynek ludów nieszlachetny
Chłonący dobrobytu ich i wiedzy plony,
Niepytajcież, kto raźniéj wodził miecz i głownię,
Kto laur podjął z krwi bratniéj, kto stracił sztandary?
Bohaterów nie trwożą krwawych walk widownie
Gdzie nie rycerze idą w bój, ale ofiary.
Tryumf z takich zapasów—to ludzkości klęska,
Opada zwyciężona ręka jak zwycięzka;
I z ran znów bliźni mówi! Niesiesz pocieszenie!
Ach, gdzie zgrzeszyła harda krew i siła męzka,
Niewiasto! tam cię czeka ciche poświęcenie:
Bo Twojem jest zadaniem ran tych zabliźnienie.

B. K.

Marymont i jego okolice.

Nie miłeż dla was, koledzy, którzyście razem ze mną, czy przedtem, odbywali nauki w Instytucie Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa, wspomnienie Marymontu i jego okolic? Nie rozrzewniaż was przypomnienie tych chwil razem spędzonych w koleżeńskiem gronie przy pracy, na wycieczkach botanicznych i gospodarskich, na rozrywkach w wolnych godzinach i to w tak uposażonéj wdziękiem od natury i upiększonéj sztuką okolicy?

Już pierwsze chwile pobytu w Marymoncie, nastręczały każdemu z was same tylko przyjemności i to bardzo urozmaicone. Nowe otoczenie, nowe zajęcia i nowe rozrywki, a to wszystko w wiejskiem ustroniu, zdala od gwaru miasta wśród uroczéj okolicy, wywoływały same tylko rozkoszne i miłe wrażenia, którym każdy ulegał, poddając całą swą istotę pod ich wyłączne panowanie. Jedna tylko tęsknota za rodzicielskim domem, opuszczonym na długo, wspomnienie ostatniego przed odjazdem pożegnania siostr i braci i błogosławieństwa matki, przeprowadzającéj jeszcze załzawionem okiem i krzyżykiem na drogę oddalającego się syna, psuły tę harmonję przyjemnych wrażeń i zwracały młodzieńcze rwące się naprzód myśli w przeszłość minioną bezpowrotnie.

Pamiętacie zapewne, jak każdy z was pierwszą przechadzkę popołudniową poświęcał zwiedzeniu okolicy, dowiadując się wówczas, że ogrody: botaniczny, warzywny i owocowy wraz z gruntami przyległemi otaczające zabudowania Instytutu, należą do Marymontu, że sąsiednia miejscowość upiększona ogrodem i obszernym stawem, przerznięta kręto płynącym strumieniem, nazywa się Grossów, że urocza wśród dębowego lasku położona osada, zwie się Kaskadą, za nią położony jest wzorowy folwarczek Instytutowy Ruda, po za którym rozciąga się ulubiony przez Warszawian lasek, okrążający wzgórzystą miejscowość zwaną Bielany.

Przyjrzawszy się z bliska Marymontowi, każdy oceniając piękność położenia i urządzenia miejscowości, koniecznie doszedł do tego wniosku, że ten, co zakładał tutaj siedzibę, musiał być zmęczony gwarem Warszawy i rozskoszami miejskiego życia i potrzebował po trudach i zabawach stołecznych ciszy wiejskiego ustronia, dla odetchnienia świeżem powietrzem, dla wypoczynku myśli, strudzonych troskami codziennego żywota. I rzeczywiście, kiedy wydostaniesz się już za rogatki miejskie i zwrócisz swe kroki na drogę idącą w prawo w dolinę Marymoncką, w miarę jak przestajesz słyszeć gwar miasta i widzieć ruch jego mieszkańców, myśli twe rozgorączkowane pospiesznem życiem przychodzą do równowagi i spokoju, wrażenia zmysłowe na zielonem tle ogrodów i gajów łagodnieją, wrzenie uczuć rozpalonych od gorąca namiętności ludzi nagromadzonych w mieście stygnie stopniowo; aż nareszcie, gdy staniesz już na wzgórku, gdzie stoi dzisiejsza kaplica a dawniéj pałacyk Marji Kazimiry Sobieskiéj, w pośród ślicznego ogrodu odkrywającego widoki na okoliczne doliny, uczujesz się wtedy tak swobodnym, myśli twe przyjdą do takiego wewnętrznego uspokojenia, że zapomnisz o troskach twego życia i utoniesz w uroczem dumaniu. Jeżeli myślą sięgniesz w przeszłość, przypomnisz sobie wówczas, że tutaj Marja Kazimiera, a następnie August II i August III, przemieszkiwali w letniéj porze, uprzyjemniając sobie życie wiejskiemi rozrywkami, że następnie poseł angielski Wroughton, potem zaś Franciszek Rzewuski marszałek nadworny koronny, zamieszkując tu, oddawali się sielankowym przyjemnościom i upiększali ciągle Marymont gustownemi budowlami i ogrodami. Od r. 1819 dzieje Marymontu związane zostały z dziejami Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa, który tu za-

łożono; z rozwijaniem się zaś tegoż i sama miejscowość zyskiwała też na uporządkowaniu i upiększeniu i stała się jednem z ważniejszych miejsc, do których uczęszczają dla przechadzek mieszkańcy Warszawy, tak chętni do zamiejskich wycieczek.

Pod głównym zarządem Dyrektorów Instytutu, a bliższym kierunkiem znakomitego naturalisty professora Jastrzębowskiego, Marymont od roku 1819 do 1858 przybierał coraz strojniejszą i coraz więcéj zajmującą postać. Postępując drogą zwirową od Warszawy obok gruntów Grossowa, najpierwéj zwracał twoję uwagę po lewéj stronie znajdujący się ogród warzywno-owocowy, rozwijany stopniowo staraniem i pracą samych studentów Instytutu i własną ręką professora Jastrzębowskiego. Błotnista zalewana wodami płynącéj tu rzeczki dolina, zamienioną została przez uregulowanie kształtnego koryta i wykopanie w najniższym punkcie głębokiego stawku w foremne grzędy, pełne cebuli, selekią wzgórza; spieszysz do niego przez kładkę, bawisz swe oko szmaragdową zielonością pokrywającego ów kopiec rajgrasu, obchodzisz go w około i znajdujesz z drugiéj strony wiodące na wierzch schodki, po których wstępujesz ciekawie, a dostawszy się na górną płaszczyznę, znalazłeś i miejsce dla odpoczynku: ogromny kamień porfirowy o płaskiéj powierzchni, położony pod ślicznym młodym jesionem, nadzieją przyszłego cieniu i chłodu. Choć nie jesteś znawcą osobliwości, zadziwił cię jednakże skład tego kamienia i jego foremnie pstrokata barwa czerwonawa z regularnemi białemi centkami, jest to bowiem porfir zwany migdałowcem, z powodu upstrzenia go białemi jakby migdałami wsadzonemi w massę granitową. Ten to kopiec uformowany został ze wzgórka pozostałego przy regulacji miejscowości, przez wyrównanie go jakim tysiącem taczek ziemi przywiezionéj z poblizkich wzgórkowatych nierówności i nadanie mu formy ostrokręgu



Marymont pod Warszawą. — (Strona 415-a).
(Podług litografji Seweryna Oleszczyńskiego, wykonanéj w roku 1828).

rów, pomidorów, kapusty i t. p. warzyw; brzegi strumienia i stawku wzmocniono zieloną darnią i obsadzono dwoma wijącemi się rzędami złotowierzbu, cudnie odbijającego swemi złocistemi prątkami i jasno zielonem liściem od kryształowych wód strumyka. Odkąd dawniéj odwracało się twoje oko ze wstrętem, późniéj przywabiał cię strumyk i stawek, gdzie stanąwszy nad brzegiem mogłeś przyglądać się igrającym rozkosznie pstrągom (hodowanym przez professora Higneta), nęciły cię do przechadzki starannie wygracowene ulice, przyciągała cię do siebie rozłożysta topol nad stawkiem, obiecująca ci miły pod swojemi konarami na ławeczce spoczynek. Gdyś już nacieszył się igraszkami pstrągów i ochłodził w cieniu topoli, zaciekawiła cię i szkółka drzew owocowych założona po za warzywem, przyjrzałeś się bujnie wzrastającym dziczkom i szczepom grusz, jabłoni, śliw i wisien przeróżnych odmian, lecz najwięcéj cię zainteresował kopiec, jakby pomnik jaki sterczący na pochyłości rozciągającego się za rzeczkściętego. A wszystko to wykonane było własnemi rękami uczniów Instytutu, zachęcanych w pracy przez professora Jastrzębowskiego. Kopiec ten, to uwieńczenie założenia ogrodu, to pomnikowa choć skromna pamiątka trudów i wytrwałości tych, co się do zakładania ogrodu swą pracą przyczynili, a szczególniéj niezmordowanego w pracy professora.

Za warzywnym ogrodem rozciągała się na pochyłości piaszczystego wzgórza winnica, starannie utrzymana, z kilkuset winnych krzewów złożona. Tuż obok, po drugiéj stronie szosy na wzgórzu, na którem stał dawny pałacyk Marji Kazimiry, późniéj na Instytutową kaplicę przerobiony, był ogród botaniczny, ze znajomością naukową i z gustem urządzony. Ogród ten, to miejsce główne codziennéj przechadzki mieszkańców Marymontu i uczniów Instytutu, to urocza miejscowość, wśród któréj tak miło było pod cieniem szerokolistnego kasztanu lub płaczącego jesionu, używać chłodu w skwarny dzień letni i oddawać się gorącym marzeniom młodości. Od

chwili, w której zielona roślinność zaczęła rozweselać ziemię aż do późnéj jesieni, w każdéj godzinie wolnéj od zajęć obowiązkowych, mogłeś widzieć niejedną gruppę uczniów spacerujących po ogrodzie: ci poznawali rośliny, badając ich cechy botaniczne, stosownie do wyłożonéj im teorji, tamci używali spoczynku w cieniu drzew po mozolnéj umysłowéj pracy, bawiąc się wesołą gawędką, inni pojedynczo lub w małych gruppach studjowali teorję agronomji wykładaną im z katedry, czytając dzieło traktujące o rolnictwie.

Naprzeciw ogrodu botanicznego po drugiéj stronie drogi wjazdowéj, śliczny domek drewniany w szwajcarskim guście, mieszkanie professora budownictwa Martina, przez tegoż zbudowane, otoczony klombami rozmaitych kwiatów i dzikich krzewów i umajony dzikiem winem, przyczyniał się wielce do upiększenia Marymontu.

Oprócz opisanych ogrodów, był jeszcze ogród warzywno-owocowy dosyć obszerny Dyrektorskim zwany, jako wyłącznie do użytkowania dla Dyrektora Instytutu przeznaczony, lecz ten nic godnego uwagi nie przedstawiał; zresztą tak dla publiczności jak i dla uczniów zamknięty, pozostawał w swojéj wyłączności bez ogólnego znaczenia.

Tuż obok Marymontu widzisz Grossów, oddzielony odeń parkanem i żywopłotem, ustronną dolinę przerzniętą krętym strumieniem, zasilającym swojemi wodami obszerny staw i okoloną wyniosłemi drzewami, wśród któréj wznosi się gustowny pałacyk, obok innych zabudowań wiejskich i przemysłowych. Zwiedziwszy Grossów jakkolwiek piękny pod estetycznym względem, nie zdziwiłeś się bynajmniéj, widząc to miejsce mało uczęszczane przez mieszkańców miasta. Wiejskie ustronie wabi przychodnia nie samą naturalną pięknością, lecz jeszcze uroczystym spokojem, wśród którego możesz przysłuchiwać się śpiewom słowików ukrytych w gęstwie kwitnących krzewów, szmerowi wód strumienia wijącego się po zielonym trawniku, wsłuchiwać się w szum liści, dźwięczne brzęczenie pszczółek i całą tę harmonję tonów żyjącéj przyrody, która uspakaja duszę, przypomnieniem rozkoszy Adamowego raju. Tymczasem Grossów przyciągając zdala, odstrasza zbliska łoskotem stojącego nad stawem młyna i drażniącym uszy hałasem zbudowanéj obok młyna karczmy. Dla tego też to miejsce tylko w oddaleniu obserwowane, robi przyjemne wrażenie i nic z swéj wartości nie traci.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

DROZDY.

Jak to miło przypomnieć sobie owe wesołe chwile, jakieśmy w młodzieńczym naszym wieku, niejednego pochmurnego, a łagodnego dzionka października, w zaroślach obstawionych ptasiemi sidłami przepędzali. Z jaką to niecierpliwością i w jakiej to ciszy wyczekiwaliśmy momentu, kiedy skrzydlaci swawolnicy po za obrębem naszych zasadzek, drwiąc niby z podstępów człowieka, wesoło sobie fruwali na wszystkie strony lub po ziemi skakali, albo kiedy znęceni głosem zamkniętych w klatkach wabików obsiadłszy kilka przyległych drzew z niedowierzaniem przypatrywali się troskliwie oczyszczonej przez nas połance, śród której liczne w ziemi utkwione gałązki jarzębiny krasnym błyszczały owocem. Widok kilku smacznie biesiadujących uwięzionych towarzyszów zaostrzał wprawdzie apetyt swobodnie gwarzącéj między sobą rzeszy, lecz zastanawiało ją to głęboko, że owi biesiadnicy byli w klatkach zamknięci. Rzesza widziała jeszcze innych braci, którzy niby to swobodnie przelatywali z miejsca na miejsce a jednak wlekli za sobą jakiś długi cienki sznurek, uczepiony do lekkiego skórzanego paska pod ich skrzydłami. Wszystko to budziło pewną instynktową nieufność ptastwa, które prócz takich wątpliwości, bystrym swoim wzrokiem dopatrzyło jeszcze w umyślnie przyrządzonych rowkach jakieś lekkie sieci, dla niepoznaki, suchem pokryte liściem. Niebezpieczeństwo było widoczne, a jednak, ten i ów niedoświadczony żółtodzioby ptaszek, który pewnie nie dawniej jak w maju dopiero z jajka się wykluł, odważył się spuścić na ziemię, pokręcił się tu i owdzie, popatrzył, uszczypnął gdzie niegdzie rumianą jagódkę, a gdy mu się gałązka jarzębiny, jakoś nienaturalnie poruszyła, zrywał się znowu i uciekał strwożony. Gdy atoli żaden ze spłoszonych nie dostrzegł ukrytych i siedzących jak trusie ptaszników i gdy wszystko do koła zdawało się być bezpiecznem, młodziki wracali znowu napowrot, i wtedy już na dobre oskubywali ponętne jagody. Starszyzna siedząca spokojnie na blizkich drzewach widząc taką biesiadę, myślała sobie pewnie: jeżeli ci smarkacze będą się daléj tak uwijać, toć już dla nas nic nie zostanie; a przecież mamy jeszcze spory kawał drogi do noclegu, i kto wié czy tam znajdziemy tak piękne i świeże jagody jak tutaj. Gdybym ja tylko wiedział, mówił jeden z najstarszych, co to znaczą owe sznury tak dziwnie poprzeciągane do tamtéj, spokojnéj na ustroniu stojącéj budki? Mój kuzyn kos czarny, który kosztem swojego ogona wyratował się z jakiejś pułapki, opowiadał, że chytry człowiek, umie za pomocą tych sznurów urządzać jakąś dziwną maszynerję, z któréj nawet najzręczniejszy z naszych wydobyć się nie potrafi; a ten człowiek tak podobno lubi nasze mięso! Ależ do licha, kiedy my tutaj bezczynnie gwarzymy nasza niedorosła dziatwa, już prawie połowę drzewka objadła. No, odwagi! trzeba i nam się posilić, zanim w dalszą ku południu ruszymy drogę. I za nim, cała gromada spuściła się na ziemię. W chwilę potem ściągnęliśmy sznury, sieć zapadła na biedne ptastwo, które tłukąc się pod jéj zdradnem nakryciem, rozpaczliwemi głosy trwogę swą objawiało. Nie raz i litość odezwała się w sercach naszych, kiedy stary Wojciech nasz mentor w sztuce łowieckiéj, zakręciwszy szyję każdemu jeńcowi, obojętnie wrzucał martwe zwłoki jeńca do przygotowanego na ten cel koszyka.

Drozd obrożny (Turdus torguatus) najczęściej w okolicach górzystych pada ofiarą ścigających go ptaszników; albowiem chociaż on jest bardzo płochliwy i zręcznie unika zasadzek myśliwców, jednakże niezdolny jest oprzeć się pokusie wiodącéj go do jagód jarzębiny, które namiętnie lubi. Dla tego też bardzo wiele z nich ginie w zwyczajnych sidłach z włosienia, jakie przebiegli łowcy, rachując na ich żarłoczność zastawiają. Jest to ptak bardzo kształtny i wcale nie brzydki. Barwa jego jest ciemnopopielata, czarniawa, wszystkie piórka otoczone są białą wąziutką obwódką, a u samca szyję okrąża piękny, biały, niby pierścień jaki, naszyjnik. U samicy naszyjnik ten jest mniéj wyraźny i ciemniejszy. Nogi są czarne łuskowate, źrenice jasno-orzechowe. Drozdy zdają się być już to ptakami miejscowemi, już przelotnemi. Zimą można je częściej napotkać w równinach, u stóp przedgórza, gdzie karmią się skrzepłemi glistami, owadami lub rozmaitemi jagodami. W Niemczech północnych, i nad niższym Renem, gdzie drozd ten rzadko się pojawia i w okolicach nizko-pagórkowatych, gdzie się nigdy nie gnieździ, ptasznicy zowią go drozdem zamorskim, sądzą bowiem, że on tam przybywa z za morza równie jak wszystko co tylko jest nieco rzadszem. Porą zimową można go także czasem i w ogrodach napotkać, gdzie śmiałem obejściem swojem i ciemną

bawą łatwo w oczy wpada. Chcąc drozda podczas wiosny obserwować, trzeba się już udać aż w wysokie góry sosnowe, gdzie śród łąk i przesmyków górnych karmi się głównie małemi ślimakami, chrząszczami i szarańczą. Pobudzony tym żywotnym pakarmem do czynniejszego życia, uczuwa w sobie coraz żywszy popęd płciowy i już w końcu Kwietnia rozdziela się na pojedyncze pary i własne zakłada gospodarstwo. Buduje on sobie na starych wyniosłych sosnach, śród niższych gałęzi bardzo zgrabne, mocne, z mchu i cienkich korzonków ułożone gniazdo, w którem znajdujemy zwykle cztery, blado-zielone, szaro nakrapiane jajka. Drozdy czuwają bardzo troskliwie nad swoją rodziną, starając się głośnym imponującym krzykiem: „czak! czak!“ i ustawicznem skakaniem z podniesionym w górę dziobem i rozpostartemi ku ziemi skrzydłami, a zadartym ogonem odstraszyć, ciekawego lub chciwego zdobyczy natręta. Ale niestety! złośliwy tchórz lub kuna nie zważa na to bynajmniéj, i mimo rozpaczy i żalu zbolałych rodziców, wypija obojętnie ich jajka, albo też pożera wszystkie czworo ich dzieci. Poniesioną stratę wynagradzają one sobie najczęściéj powtórnym lęgiem. Dla starych drozdów jednym z najniebezpieczniejszych wrogów jest lis, który zaczaiwszy się w gęstwinie zarośli, rzuca się znienacka na skaczące śród mchu ptastwo, chwyta je i pożera. Kot dziki jest także zawziętym ich nieprzyjacielem, i myśliwi, znający dobrze tę jego słabą stronę, chcąc go na blizkość strzału zwabić, naśladują często z pomyślnym skutkiem krzyk i pisk złapanego lub męczonego drozda. Ale ptaki te znają doskonale i tego wroga swojego. Niechaj się tylko kot dziki przyczai do kamienia lub ułoży najpotulniéj czychając na swą zdobycz, pomiędzy wystające nad ziemią korzenie, wtedy, dosyć już ażeby go tylko jeden drozd dostrzegł; natychmiast bowiem całą alarmuje okolicę; wszystkie ptastwo zlatuje się bezzwłocznie na zagrożone miejsce, obsiada niższe gałęzie blizkich drzew i skacząc niespokojnie dokoła, wydaje ostrzegające krzyki. W takim razie chociaż podstępny drapieżnik udaje zupełnie martwego, chociaż, jakby śpiący, przymruża swoje wielkie zielone ślipie i tylko lekkie, prawie niewidzialne ruchy grubego czarnego końca ogona zdradzają jego gniew wewnętrzny, wszystko to napróżno, albowiem krzyk ptastwa zwiększa się coraz bardziéj; zdrajca znieść go dłużéj nie może, i zawstydzony wynosi się chyłkiem w inną stronę, by tam, z lepszym może skutkiem, nową urządzić zasadzkę. Myśliwemu, jakieśmy już wyżéj wspomnieli, rzadko się udaje na pewny strzał do nich przybliżyć i szczęśliwy ten, kto w ciągu całego dnia sześć do ośmiu sztuk ubije. Tylko przy grubym śniegu jeżeli niespodzianie zaskoczy, głód czyni drozdy przystępniejszemi i wtedy zdarzało nam się z obfitszym powracać łupem, śród którego znajdowaliśmy jedną bardzo ładną odmianę drozda z głową białą i takiemiż centkami na grzbiecie. Prócz epoki lęgu, podobnie jak większa część tego gatunku, drozdy żyją gromadnie w większych lub miejszych stadach. Im większe atoli jest takie stado, tem trudniéj przychodzi myśliwemu blizkie podejście, gdyż wtedy możnaby mniemać, że jeden drugiego usiłuje przewyższyć w środkach ostrożności. Zwykle po pierwszym strzale długo trzeba czekać zanim się uspokoją. Przyjemnie jest w porze wiosennéj słyszeć z wysokiéj sosny melodyjny głośny i dzwięczny śpiew drozda samca; ale szkoda wielka, że go tylko słyszeć można w górach, na które nie każdy drapać się ma ochotę. Śpiew ten słyszeliśmy bardzo często i to z prawdziwem zachwyceniem na wysokości 6,500 stóp w Alpach pod Kronstadten, i na olbrzymich trachitowych szczytach, pasma Hargitta, gdzie się one nader licznie uwijały pośród karłowatych jałowców. Pewnego razu także, kiedyśmy się podczas ulewnego deszczu w górach Zernoytskich błąkali, słyszeliśmy na około siebie też same wdzięczne głosy drozdów i z trudnością tylko zdołałem przekonać moich mniéj z ornitologją obeznanych towarzyszy, że to nie były wcale śpiewy słowików, które im się słyszeć zdawało. Słowik nigdy się jeszcze nie odezwał na wysokości 6,000 stóp; może to tylko uczynić taki prosty drozd-góral, który ani z deszczu ani z burzy nic sobie nie robi. Że drozdy jednak śród tych poetyczno artystycznych popisów i o potrzebach ciała pamiętają, to widzieliśmy bardzo często, jak przerywając nagle swoje trele, spuszczały się szybko na ziemię, chwytały spadłą na nią przypadkiem szarańczę, a pochłonąwszy ją z najlepszym apetytem, znowu wracały na swoje miejsce, by przerwane na chwilę śpiewy daléj prowadzić. Drozd, w klatce zamknięty, zawsze jest dziki, nieposkromiony i z trudnością przywyka do podawanego mu pokarmu. Dziki, szkody nie wyrządza żadnéj, przeciwnie nawet, jako tępiciel szkodliwych owadów jest bardzo pożyteczny. Mięso jego jest wyborne, i poszukiwane; szkoda tylko że ten miły i pożyteczny ptak, staje się coraz rzadszym; zauważyliśmy bowiem, że od lat 14, stadka jego zmniejszają się widocznie. Powodem tego nie są przecież ani ptasznicy, ani myśliwi, ani nawet zwierzęta drapieżne, które przy wrodzonéj zmyślności drozdów, nie mogą im wielkiéj wyrządzić krzywdy, ale przyczyniają się głównie do tego wypadki czysto naturalne. Drozdy gnieżdżą się bardzo wcześnie, śród gór wysokich; niechaj tylko spadną jakie opóźnione śniegi wiosenne w towarzystwie zimnych wiatrów, wtedy cały ląg przepada. Niechaj jeszcze kilka podobnych lat kolejno po sobie nastąpi, a zrażone temi klęskami starsze ptastwo, instyktem wiedzione, opuszcza nieprzyjazną sobie okolicę i wynosi się w strony więcéj ku południowi posunięte, gdzie znowu, już nie klimatyczne ale materjalnie ptasznicze i myśliwskie czekają je zasadzki, w których one tysiącami giną. Szkoda, szkoda rzeczywista tego umilającego najdziksze miejsca, a tak nielitościwie tępionego artysty leśnego!

POGADANKI PRAWNE.

V.

O nieobecności osób, zaginieniu, zniknieniu i ich skutkach.

W języku potocznym, nieobecnym nazywamy każdego, kto się faktycznie nie znajduje, nie przebywa lub nie jest widziany w swojem mieszkaniu. Taka nieobecność osoby, póki jéj istnienie nie będzie kwestjonowane, nie jest uważana za nieobecność w prawnem znaczeniu. Prawna bowiem nieobecność zaczyna się dopiero od chwili powstania wątpliwości o istnieniu osoby, kiedy nie można udowodnić że ona żyje lub że umarła.

Wątpliwość istnienia osób, a właściwie ich nieobecność prawna, wywołała konieczność ustanowienia przepisów, które opierając się na potrzebie zabezpieczenia praw majątkowych osoby niewiadoméj z pobytu, jak również zasłonienia osób trzecich obecnych z nią w stosunkach będących, od strat z takiego położenia wyniknąć mogących, mają na celu pogodzenie w granicach możności tych przeciwnych sobie interesów, osób nieobecnych i obecnych. Odpowiednio temu zadaniu, prawo oznacza skutki nieobecności co do majątku jaki osoba posiadała lub nabyć w tym czasie mogła, wedle tego, czy domniemanie życia lub śmierci przeważa. O ile więc życie nieobecnego jest prawdopodobniejsze, o tyle prawodawca uważa na jego prawa, — o ile zaś śmierć nieobecnego jest więcej prawdopodobną, o tyle znów prawo uwzględnia interes osób obecnych żyjących. Według więc tej podwójnéj dążności przepisów prawa, nieobecność dzieli się na trzy perjody.

I. Od chwili, gdy osoba wydaliwszy się z miejsca zamieszkania nie daje o sobie wiadomości, ale nie może być uważana za zmarłą z powodu braku na to dowodu; wtedy poczy-

na się epoka nieobecności z domniemania — *zaginienie.* Czas do uznania zaginienia nie jest, bo nie mógł być w prawie określony i mimo, że nieobecność może być dowiedziona świadectwem miejscowéj władzy policyjnej, to dowód niewiadomości o pobycie osoby zależy od okoliczności, jak: od czasu zaprzestania dawania wiadomości lub od natury powodu sprawiającego nieobecność. Handlujący np. zmuszony odbywać długie podróże, może się wydalić na czas dłuższy i mimo niezawiadomienia gdzie się znajduje, nie będzie wzniecać niepewności o swojém istnieniu; przeciwnie ten, kto rzadko opuszcza swoje zamieszkanie, nieukazywanie się jego nawet przez czas krótki, będzie uważane za zaginienie. Oznaczenie więc czasu do uznania zaginienia zawisłem jest od okoliczności, i dla tego pozostawione zostało roztropności i światłu Sądu. Jeżeli na czas swéj nieobecności osoba uważana za zaginioną, pozostawiła pełnomocnika do zarządzania jéj sprawami majątkowemi, wtedy jemu jest poruczone pilnowanie ich całości; w razie zaś jego śmierci, lub ukończenia mandatu przed powrotem osoby, lub wreszcie gdy pełnomocnik szkodliwie swe obowiązki wykonywa, wtedy należy przedsiębrać środki takie, jak gdyby pełnomocnik nie był wcale pozostawiony. W tym wypadku strony interessowane, mianowicie: współmałżonek, następcy z prawa (dzieci, bracia lub rodzice) nawet wierzyciele mogą wystąpić z podaniem do Prezesa Trybunału miejsca zamieszkania jakie miał nieobecny przed zaginieniem, w braku tego — miejsca ostatniego jego pobytu, lub wreszcie do Trybunału miejsca położenia majątku nieruchomego należącego do zaginionego, który wyznaczy Sędziego dla złożenia sprawozdania, a wyrok zapadły postanowi zadosyćuczynienie potrzebom jakich zachowanie majątku wymagać będzie. W razie niedziałania osób interesowanych, Prokurator Królewski mający szczególny obowiązek czuwania nad prawami zaginionych, może i powinien o zarządzenie stósownych środków uczynić wniosek, o ile o ich potrzebie poważmie wiadomość. Aby Trybunał mógł uwzględnić żądanie stron, należy wykazać słuszne powody znaglające do takiego postanowienia; prawo bowiem jak już wiemy, szanując wolę osób, nie dozwala wdzierać się w sferę życia osoby zaginionéj, wglądać w jéj tajemnice zawsze nietykalne dla obcych, bo by to mogło uwłaczać jéj godności lub jéj interesom. Dopiero zbadawszy należycie przyczyny mięszania się stron do majątku osoby zaginionéj Sąd, pozostawiając przy współmałżonku zarząd majątkiem, wyznacza z pomiędzy Rejentów kuratora który osobę zaginionego reprezentować i praw jego pilnować jest obowiązany, gdy idzie o udział zaginionego przy spisywaniu inwentarzy, przy rachunkach i działach spadkowych, w którychby zaginiony był interesowanym. Jednakże do procesów jakieby należało prowadzić, Rejent przez decyzję Trybunału winien być wyraźnie upoważniony. Wymienione działania kuratora kończą się: z powrotem zaginionego, który wszystkie czynności do majątku się odnoszące obowiązany jest uszanować; przez udowodnienie śmierci jego, bo administracja ustaje, a zaczyna się postępowanie spadkowe; wreszcie z chwilą wydania wyroku uznającego osobę zaginioną za znikłą, czyli z początkiem drugiego perjodu nieobecności.

II. Osoba dotąd uważana za zaginioną jeśli nie powraca, lub wiadomości o niéj nie dochodzą i wzrasta niepewność jéj istnienia, a wszelkie możliwe środki wywiedzenia się o śladzie jéj pobytu zostały daremnie wyczerpane, wtedy następcy z prawa, oraz następcy testamentowi, jeżeli testament był sporządzony, mogą żądać od Trybunału uznania osoby zaginionéj za znikłą; co może nastąpić po upływie lat czterech, lub po latach dziesięciu jeżeli zostawiła pełnomocnika, licząc ten czas od dnia zaginienia lub ostatniéj wiadomości. Po przedstawieniu dowodów, że termin prawem wymagany od wydalenia się osoby upłynął, Sąd może nakazać śledztwo z badania świadków w okręgu zamieszkania, lub ostatniego pobytu zaginionego za przyzwaniem i w obecności Prokuratora Królewskiego. Jeżeli Trybunał, znajdzie że badanie przyniosło dowód nieobecności, *uznaje osobę zaginioną za znikłą.* Uznanie jednak takie nie może nastąpić wcześniej jak w rok jeden po wyroku nakazującym badanie świadków, a to, dla dania czasu udzielenia wiadomości tak osobie zaginionéj, jak i tym, którzyby mieli wiadomość o jéj życiu. Każdy z tych wyroków to jest: postanawiający śledztwo i wyrzekający zniknienie osoby, Prokurator obowiązany jest przesłać Komissji Rządowéj Sprawiedliwości, celem ich ogłoszenia przez pisma publiczne.

Łącznie z wyrokiem uznającym zniknienie lub w drodze oddzielnéj, osoby działające wyżéj wymienione, mają prawo domagać się wprowadzenia siebie w posiadanie majątku jaki należał do znikłego, za poprzedniem wszakże stawieniem kaucji, w wysokości przez Sąd oznaczonej, w gotowiźnie, w zabezpieczeniu hypotecznem, lub nawet w poręczeniu osoby trzeciéj odpowiedzialnéj, od któréj to rękojmi krewni znikłego w linii wstępnéj, zstępnej i małżonek są zwolnieni. *Posiadanie majątku* ponieważ jest tylko *témczasowe,* dla tego wprowadzeni do niego winni nim zarządzać z wszelką troskliwością, albowiem odpowiadają nie tylko za szkody umyślne ale i za dopuszczone błędy sprowadzające uszczerbek; przeto dla uchronienia się w przyszłości od odpowiedzialności z własnego majątku, winni postarać się o sporządzenie inwentarza ruchomości, oraz opisu stanu nieruchomości, przy czem ma assystować Prokurator lub urzędnik przez niego wyznaczony. W czasie zarządzania majątkiem temczasowo posiadanym, osoby wprowadzone do niego nie mogą z takowego nic darować, sprzedać lub zamienić, ani go długami obciążać, a wyłącnie się ograniczać tylko na czynach zarządu. Administracja majątku znikłego daje jego posiadaczom prawo do połowy dochodów z lat piętnastu od daty wyroku, jeżeli osoba znikła zjawiła się w ciągu tych lat; zatrzymują zaś cały dochód z drugich lat piętnastu, poczynając od szesnastego, jeżeli osoba w ciągu ich biegu powróciła. Nadto, gdy osoba znikła znalazła się dopiero po upływie lat trzydziestu od chwili uznania jéj za znikłą, wówczas nawet i połowa przychodów z pierwszych lat piętnastu dla niej zachowana, jest dla niéj stracona i staje się własnością osób temczasowo dzierżących posiadanie. Za te wszystkie korzyści posiadaczom zapewnione, obowiązani są oni przykładać się do utrzymania majątku w takiéj części, w jakiej dochody z tegoż majątku pobierają.

Perjod drugi nieobecności, trwający lat trzydzieści, ustaje bądź z chwilą ustanowienia dowodu zejścia znikłego, bądź też gdy on powróci lub wiadomość o nim będzie powziętą. W pierwszym wypadku, posiadacze témczasowi obejmują majątek tytułem sukcessji, lub wydają go następcom bliższym w stopniach pokrewieństwa; w drugim zaś, majątek odbiera prawy właściciel wraz z rachunkami i dochodami, jeżeli mu jakie należeć będą.

III. Po upływie lat 30-stu od wprowadzenia domniemanych następców w témczasowe posiadanie, zaczyna się trzeci perjod nieobecności już nieograniczony czasem względem majątku jaki znikły posiadał. Termin ten wszakże wymagający upływu lat trzydziestu, będzie skrócony, jeżeli przed ich wyexpirowaniem upłynęło lat sto od dnia urodzenia znikłego. I tak: jeżeli osoba w chwili zniknięcia miała lat 75 życia, to po upływie lat 25-ciu dopełniających stulecia, te same osoby które żądały wprowadzenia w temczasowe posiadanie, mogą domagać się od Trybunału wyrzeczenia *posiadania stanowczego.* Sąd mający do rozpoznania takie żądanie, musi wymagać udowodnienia, że w ciągu czasu od wprowadzenia w posiadanie temczasowe, osoba znikła nie zjawiła się lub nie dała o sobie wiadomości i tym celem winien nakazać nowe badanie świadków, do którego wchodzi Prokurator jako strona przeciwna, żądającym wprowadzenia w posiadanie stanowcze. Po wydaniu wyroku stwierdzającego zu

pełne zniknienie, następcy z prawa mogą żądać działu majątku, a jako uważani za właścicieli, dla tego wszelkie kaucje są zniesione, dochody dla zniklego zachowane mają nieograniczone prawo podnieść i tytuły swego nabycia w księgach hypotecznych uregulować. Wprawdzie, gdyby w tym czasie nawet znikły wrócił, mocen jest odebrać swój majątek w stanie, w jakim się znajdować będzie.

Postępowanie opowiedziane dotąd, odnosi się *wyłącznie do majątku, jaki do nieobecnego po chwilę zaginienia należał.* Gdyby zatem po ustaleniu téj epoki otworzyły się dla niego nowe prawa majątkowe, czy to przez spadek, darowiznę po współmałżonku na przypadek śmierci drugiego uczynioną, lub przez zapis testamentowy i t. p. to ponieważ prawo stawia zasadę ogólną: że do nabycia tego rodzaju praw *potrzeba istnieć w chwili ich otwarcia,* to każdy z następców nieobecnego dopominający się za niego tych praw, dowieść powinien, że on istniał w czasie ich powstania; jeśli nie udowodni, żądanie przyjętem nie będzie i majątek przejdzie na tych sukcessorów, którzyby takowy z nim razem, lub w razie jego nieistnienia sami dziedziczyli. Przejście wszakże sukcessji na obecnych współnastępców jest tylko prowizorycznem, bo jeżeli później, ten, którego istnienie było wątpliwem, którego uważano za zmarłego, powróci i nadto, jeśli jego prawa do spadku przez przedawnienie lat trzydziestu nie zgasły, będzie on mógł działać przed Sądem o odzyskanie udziału na niego przypadającego.

Henryk Turowski.



Drozdy. — Strona (417-ta).

Wiadomości Techniczne.

— **Próba farby czarnego sukna.** Chcąc odróżnić sukno farbowane kampeszem i koperwasem żelaza i miedzi, (która to farba jest fałszywą), od prawdziwego mającego grunt indygowy, rozpuszcza się trochę soli szczawikowéj w wodzie dystylowanéj (w braku zaś téjże w czystéj deszczowéj), a zwilżywszy płynem tym korek. przyciska się do sukna. Na dobrem suknie powstanie w miejscu zwilżenia plama oliwkowo-zielonawa, zaś na suknie którego farba jest fałszowaną, wyda sól szczawikowa plamę ciemno-różowo-żółtą, lub płową.

— **Naczynia papierowe.** Za pomocą zgęszczenia płynu z którego się wyrabia papier, można otrzymać papier twardy i nieprzemakalny. Z téj saméj massy wyrabiają się także naczynia kuchenne, które stósowną pociągnięte glazurą, są bardzo przydatne do gotowania; są bardzo lekkie, woda zagotuje się w nich bardzo prędko, nie podpadają tak łatwo stłuczeniu jak żelazne lub gliniane, a wreszcie są znacznie tańsze niż tamte.

ROZMAITOŚCI.

— W końcu miesiąca Lipca w Styrji, w pobliżu wioski Mell, mieszkańcy przerażeni zostali strasznym hukiem. Wkrótce spostrzeżono, że kilka morgów gruntu pod wioską owsem obsianych znikło, a w owem miejscu powstało głębokie bardzo jezioro, napełnione czystą i zimną źródlaną wodą.

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою. — **Redaktor,** Stanisławski Oskar.

Drukiem Jana Psurskiego, ulica Niecała Nr. 12 nowy.